



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Mścisław Ludwik Lurie

Wyrwani śmierci

W tym wspomnieniu zawarte są dzieje mojej matki, kobiety – bohaterki Powstania Warszawskiego, Wandy z domu Podwysockiej.

Wolska 55, 5 sierpnia 1944 roku, liczba ofiar – osiem tysięcy. Uwagi PCK – przesłano 1029 kilogramów prochów. Pozycja 130, 8 sierpnia 1944, miejsce – Działdowska, liczba ofiar nieznana; uwagi PCK – przesłano 70 kg prochów. Pozycja 211, sierpień 1944, miejsce – Wolska 79, liczba ofiar nieznana; uwagi PCK – przesłano 2760 kilogramów. Wstrząsający to spis. Straszliwa buchalteria. Ale przecież trzeba było to wszystko dokładnie zarejestrować.

Tamten stary człowiek z wyspy Sylt, zapytany kiedyś przez dziennikarzy o samopoczucie odpowiedział – „Mam dobry sen i nie oblewa mnie nocą zimny pot. I apetyt mam doskonały i w ogóle czuję się dobrze”. Przez ponad ćwierć wieku mieszkał wygodnie i spokojnie w zachodnioniemieckim mieście Westerland przy ulicy Stadtmuer 43. Miał sporo czasu, był niezależny otrzymując wysoką rentę generalską. Pierwszy rozdział zbiorowej publikacji pt. „Ludzie i ich czyny – opowiadania odznaczonych Krzyżem Oficerskim” wyszedł spod jego pióra. Tytuł rozdziału brzmi dziarsko: „Mój pułk idzie za mną”. Jego pułk.

Nie czytałem wspomnień emerytowanego gruppenführera, ale wiem wiele o jego żołnierzach. Było ich więcej niż pułk. Nosili sztabowy kryptonim od nazwiska swego dowódcy – „Kampfgruppe Reinefarth”. Od nazwiska autora rycerskich wspomnień. Nie czytałem wspomnień Heinza Reinefartha z roku 1953 – wydanych oficjalnie, pod rządowym patronatem Lehmanns Verlag w Monachium. Nie wierzę w prawdziwość piszącego. W kwestionariuszu personalnym dla władz wojskowych strony amerykańskiej, pisanym 20 sierpnia 1945 roku podał on na przekład, że nie był członkiem SS, podczas gdy w rzeczywistości legitymował się niskim numerem ewidencyjnym – 56634. Zataił też całkowicie swoją obecność w czasie powstania w Warszawie, podając ogólnikowo: „Dnia 4 sierpnia 1944 objąłem na froncie wschodnim dowodzenie pułkiem, który następnie został rozbudowany do dywizji i składał się z Wehrmachtu i policji porządkowej”.

Bardzo niewiele ocalało ludzi, którzy przeżyli to sierpniowe spotkanie z „Kampfgruppe Reinefarth”. Po wybuchu powstania sam Hitler polecił Reinefarthowi, pełniącemu wówczas w Poznaniu funkcję wyższego dowódcy SS i policji na tzw. Kraj Warty, objęcie dowództwa bojowej grupy dla stłumienia walk w stolicy Polski. W jej skład weszły oddziały osławionego Dirlewangera złożone z elementów kryminalnych i zdegradowanych SS-manów, „białogwardziści” Kamińskiego oraz grupy specjalne SS i policji, a także inne pospiesznie sformowane pododdziały okupanta.

Dnia 4 sierpnia rano „Kampfgruppe Reinefarth” przybyła do Warszawy, do dzielnicy Wola, gdzie zajęła stanowisko wyjściowe. Meldunek 9 Armii gen. Vormanna z godziny 22.00 tegoż dnia wyraźnie

stwierdza, że grupą bojową dowodzi SS-gruppenführer i generał porucznik policji Heinz Reinefarth. Był to właśnie czwarty dzień od otrzymania nowego awansu. Nazajutrz pułk poszedł za swoim dowódcą.

Wanda Felicja Lurie mówi: „Hitlerowski oficer wszedł na ambonę i powiedział do setek chorych, rannych, starych, przerażonych ludzi – Wkrótce już pójdziecie do swojego nieba. Wasze tobołki zostawcie, bo tam już nie będą wam potrzebne”. To było w tym kościele św. Wojciecha, przy warszawskim odcinku trasy E-8. Tamten czas sprawia, że dotychczas, choć już blisko czterdzieści lat po wojnie, Wanda F. Lurie nie chce przychodzić na ulicę Wolską. Choć mieszka w tym samym mieście, choć w ciągu pół godziny mogłaby dotrzeć z obecnego mokotowskiego mieszkania do dzielnicy dzieciństwa – Woli. Dla niej ten wielki zielony trawnik na rogu Wolskiej i Skierniewickiej nie jest tylko wielkim zielonym trawnikiem. Ona widzi tam mury fabryki Ursus, której bramę przekroczyła owego 5 sierpnia, gdy „pułk ruszył za swym dowódcą”. Trasę tego marszu znaczą kamienne tablice, których na ulicy Wolskiej jest siedemnaście. Upamiętniają miejsca masowych mordów i egzekucji, dokonywanych przez „Kampfgruppe Reinefarth” – to etapy zbrodni. Wolska 2/4 – zamordowano 1200 osób, w tym chorych i personel szpitala św. Łazarza. Wolska 43/45 – na terenie dawnej fabryki Franaszka wymordowano i spalono około 7000 osób. Wolska 55 – w murach fabryki „Ursus” rozstrzelano około 7000 mieszkańców okolicznych ulic.

Wanda Lurie mieszkała w pobliżu, na ulicy Wawelberga pod osiemnastym, na pierwszym piętrze. Mąż nieomal od początku wojny poszukiwany przez Niemców – ukrywał się. Czasem, ale rzadko, gdy bardzo dławiała tęsknota, w cieniu godziny policyjnej przedostawał się do domu. Falszywa kenkarta numer 586661 na nazwisko „Bolesław Romanowski” była szczęśliwa. Ludzie też pomagali. Przechowywał go ksiądz Morawski – proboszcz wolskiego kościoła, tego samego, w którym w dniach rzezi Woli szydził z ambony hitlerowski oficer. Ukrywał się w mieszkaniu, którego właściciel był pracownikiem gestapo. Przygarnął go obóz cygański, koczujący na łąkach Powązek. Gdy z wybuchem powstania pojawił się w domu, sześciolatnia Ludmiła zaczęła klaskać w rączki – skończyła się wojna, skończyła się wojna! Moja matka – Wanda, mówi: „Zawsze tłumaczyłam dzieciom, że ojciec jest na wojnie i wróci jak będzie pokój”. Ma spokojny głos. Tylko kiedy wspomina tamten czas patrzy w stół, jakby nie miała siły wytrzymać czyjegoś współczucia.

Niewielkie mieszkanie na ulicy Bukietowej. Mokotowskie osiedle w zieleni klombów, trawników, ozdobnych krzewów. Dobre to miejsca, bez wspomnień wywołanych widokiem z okna, bo wszystko tu budowano już w nowej Warszawie, na pustych placach Mokotowa. Pełna kwiatów jest też niewielka loggia na drugim piętrze, z której bujna fala zieleni wtargnęła do mieszkania. Rośliny pną się po ścianie pokoju, są dumą gospodyni domu. Bardzo kocha kwiaty. W rodzinnym domu na Lesznie było ich zawsze pełno. Ojciec, Marian Podwysocki, miał warsztaty samochodowe, jedne z pierwszych w Warszawie. Mieściły się w sławnym niegdyś domu Rentla, o którym mówi Gojawiczyńska na kartach „Rajskiej jabłoni”. Został też ten pożółkły, a jakże drogi anons reklamowy, niby bilet wizytowy minionej epoki. „Garaż Międzynarodowy – M. Podwysocki. Warszawa, Leszno nr 23 tel. 91-65. Garaż, boksy, warsztaty mechaniczne, pneumatyki, benzyna, smary i akcesoria samochodowe. Kupno – sprzedaż nowych i używanych samochodów. Porady dla kupujących. Wszelkie naprawy samochodowe oraz wulkanizacja opon i kieszek”.

Ale jest też inny dokument, jaki znalazłem wśród nielicznych, ocalałych pamiątek mojej warszawskiej rodziny. Dotyczy on historii jeszcze odleglejszej, lesz przecież świadczącej o tradycjach patriotycznych, przekazywanych niby spadek dla potomnych. „Archiwum Akt Dawnych nr 987/38. W odpowiedzi na pytanie p. Marii Podwysockiej stwierdzam, że w aktach Kancelarii Generala Gubernatora Warszawskiego pod nr 103719 i 103763 znajdują się następujące dane: Marian Podwysocki, syn Ludwika, liczący w roku 1903 lat 28, mieszkaniec guberni kowieńskiej, z zawodu robotnik fabryczny, był oskarżony przez władze rosyjskie o należenie do Organizacji Bojowej Polskiej Partii Socjalistycznej i wywołanie z mieszkania robotnika Józefa Kozłowskiego, na którego urządzono zamach. W czasie rewizji osobistej znaleziono przy nim odezwym. Od 21 marca 1905 roku Podwysocki był więziony w Cytadeli Warszawskiej...” „Siedział w osławionym X Pawilonie” – uzupełnia Wanda Lurie.

Czytam dalej dokument, dotyczący spraw sprzed osiemdziesięciu lat: „(...) Mocą rozporządzenia Generala Gubernatora Warszawskiego z dnia 20 września 1905 roku Marian Podwysocki został skazany na wysłanie do guberni wiackiej na czas trwania w Warszawie i woj. warszawskim stanu wojennego. Jednocześnie General Gubernator zwrócił się do Ministra Spraw Wewnętrznych o poddanie Podwysockiego nadzorowi policji...”

W trzydzieści dziewięć lat później Zdzisław Podwysocki, dwudziestoletni syn tamtego carskiego więźnia, zostaje zamordowany wraz z innymi chorymi ze szpitala na Płockiej przez zbrodniarzy z „Kampfgruppe Reinefarth”.

We wrześniu 1939 roku jako siedemnastoletni chłopak zgłosił się na ochotnika do wojska. W czasie walk wpada w ręce Niemców. Wraca z obozu jeńców straszliwie pobity, z poobijanymi nerkami, urazem wątroby. Te odnawiające się dolegliwości sprawiły, że w sierpniu 1944 roku znalazł się w wolskim szpitalu. „Nasze mieszkanie było wówczas tuż obok – wspomina matka. – Gdy wyszedł na szpitalny balkon, mogliśmy go zobaczyć z naszego okna. Dzieliła nas szerokość ulicy...” Milczy przez moment. „Nie

mógł się uratować. W tym czasie musiał leżeć w łóżku, nie miał siły wstać, uciekać. Jej matka nie wiedziała o tym. Do swej śmierci ludziła się, że jej syn wróci...”

Trzymam w rękach fotografię – siwa staruszka w grupie kilkunastu osób pod transparentem z napisem „Związek Weteranów Walk Rewolucyjnych 1905 roku”. A na odwrocie – dla pamięci – „Odgruzowywanie Warszawy – 1946 rok.”

„Na Wolskiej 55 pod bramą fabryki „Ursus” zgromadzono nas ponad 500 osób. Z podwórza fabryki słyhać było strzały, błagania, jęki. Do wnętrza Niemcy wpychali przez bramę po 100 osób. Stałam tak pod fabryką około godziny. Niemcy spędzili nowe grupy mieszkańców ulic: Działdowskiej, Płockiej, Staszica, Wolskiej i Wawelberga. Po godzinie wprowadzono mnie z innymi do wnętrza fabryki. Na podwórzu zobaczyłam zwaly trupów do wysokości pierwszego piętra. Ciała leżały po lewej i prawej stronie pierwszego podwórka. Środkiem wprowadzono nas w głąb do przejścia na drugie podwórze. Tu Niemcy ustawili nas czwórkami. W grupie, w której się znalazłam było wiele dzieci po 10-12 lat, często bez rodziców. Zamordowani leżeli na prawo i lewo w różnych pozycjach. Naszą grupę skierowano do przejścia między budynkami. Gdy pierwsza czwórka dochodziła do miejsca mordu, Niemcy strzelali od tyłu w kark. Przy ustawianiu w czwórki ludzie krzyczeli, błagali, modlili się. Ja byłam w ostatniej czwórce. Błagałam otaczających nas Niemców, by ratowali dzieci i mnie. Któryś z nich zapytał czy mogę się wykupić. Dałam mu trzy złote pierścienie. Wziął je, lecz kierujący egzekucją oficer niemiecki kazał mnie dołączyć do idących na rozstrzelanie. Zaczęłam go błagać o życie dzieci, mówiłam o honorze oficera. Odepchnął mnie tak, że się przewróciłam. A widział, że jestem w ostatnim miesiącu ciąży. Potem uderzył i pchnął mojego starszego synka wołając – „Prędejj, prędejj, ty polski bandyto”. Podeszłam w ostatniej czwórce wraz z trojgiem dzieci do miejsca egzekucji, trzymając prawą ręką dwie rączki młodszych dzieci, lewą – rączkę starszego. Dzieci szły płacząc. Starszy widząc zamordowanych krzyczał, że nas zabiją. W pewnym momencie oprawca stojący za nami strzelił naszemu synkowi w tył głowy. Następne pociski ugodziły młodsze dzieci, a potem strzelano do mnie. Przewróciłam się na lewy bok. Kula trafiła w kark, przeszła przez dolną część czaszki, wychodząc przez prawy policzek. Dostałam krwotoku ciążowego, a wraz z kulą wypłułam kilka zębów. Czułam drętwienie lewej części głowy i ciała. Byłam przytomna i leżąc wśród trupów widziałam wszystko co się działo dokoła. Wprowadzono nową partię ludzi, których ciała padały na mnie. Przywalilo mnie około czterech trupów, a inne padały obok. Potem wprowadzono same kobiety i dzieci i tak rozstrzeliwano aż do późnego wieczora. Dopiero gdy zrobiło się ciemno egzekucje ustały. Oprawcy chodzili po trupach, kopali, przewracali, dobijali żyjących, rabowali. Ciała dotykali przez specjalne szmatki. Mnie zdjęto z ręki zegarek – nie zauważyli, że żyję. W czasie dobijania leżącego obok mnie mężczyzny strzały Niemców raniły mi nogę. W przerwach między dobijaniem i rabunkiem Niemcy pili, śpiewali, śmiali się. Leżałam tak przyciśnięta trupami w kałuży krwi. Myślałam tylko o śmierci, jak długo będę się męczyć.

W nocy zepchnęłam z siebie martwe ciała. Nazajutrz egzekucji w tej fabryce już nie było. Niemcy wpadali tylko kilkakrotnie z psami, biegali po trupach, sprawdzali czy ktoś żyje. Słyszałam pojedyncze strzały, dobijali rannych. Przez trzy dni, aż do poniedziałku, leżałam tak wśród trupów. Trzeciego dnia poczułam, że dziecko, którego oczekiwałam żyje. To dodało mi sił i kazało mi myśleć o ratunku. Próbuując wstać kilka razy dostałam torsji i zawrotów głowy. Na czworakach przeczołgałam się po trupach do muru. Zwaly zwłok leżały już na wysokość półtora metra. Zabitych na podwórku było jakieś 6-7 tysięcy. Szukałam możliwości przedostania się przez pierwsze podwórze, ale też było zavalone trupami, a za bramą słyhać było głosy Niemców. Przeczolgałam się na trzecie podwórze i przez otwarty lufcik dostałam się do hali fabrycznej. W obawie przed Niemcami pozostałam tam całą noc. W nocy „tygrysy” wyły bezustannie na Płockiej, samoloty bombardowały. Nad ranem uciszyło się. Po wielu próbach wydostałam się na ulicę Skierniewicką. Zaczęłam wlec się w kierunku Czystego. Dołączyłam do małej grupki ludzi. Schwytali nas jednak Ukraińcy i zapędzili nieopodal kościoła św. Stanisława. Tutaj rozdzielono na młodych i starych. Grupę młodych mężczyzn i kobiet wprowadzono do jakiegoś zburzonego domu, skąd po chwili słyhać było strzały. Odbyla się tam egzekucja. Resztę, w tej grupie i mnie, popędzono do kościoła św. Wojciecha przy ulicy Wolskiej. Po drodze widziałam leżące na jezdni i chodnikach zwłoki i części ciała. Grupy Polaków pod strażą uprzętały trupy. Stojący przed kościołem oficerowie niemieccy przyjęli nas popychaniem, biciem i kopaniem. Kościół był już zapełniony ludnością Warszawy z różnych dzielnic. Leżałam parę dni przy głównym ołtarzu. Żadnej pomocy mi nie udzielono. Jedynie współtowarzysze niedoli podali mi tylko trochę wody. Po dwóch dniach zostałam przewieziona furmanką z ciężko rannymi i chorymi do obozu przejściowego w Pruszkowie, stamtąd do szpitali w Komorowie i Leśnej Podkowie. 20 sierpnia urodziłam syna.”

Innym świadkiem przemarszu przez sierpniową stolicę „Kampfgruppe Reinefarth” jest prof. Hans Tieme, wówczas adiutant jednego z dowódców artylerii Wehrmachtu. Zapamiętał to tak: „Rozstrzeliwano wtedy wszystkich – mężczyzn, kobiety i dzieci. Widzieliśmy stosy ciał na kościelnym cmentarzu na Woli, dokąd ludzie schronili się przed swymi siepaczami. Innym kazano przed egzekucją wziąć do ręki drewniane sztachety z parkanu, aby później ich ciała paliły się szybciej. Dnia 6 sierpnia 1944 roku o godz. 6 zostałam wzięty z ulicy Długosza i zaprowadzony na ul. Sokołowską do kwatery tzw. Arbeitskommando.

Dnia 7 zgłosiłem się wraz z 50 mężczyznami do pracy, myśląc że tym polepszę swój byt. Stąd udaliśmy się na posesję naprzeciw kościoła św. Wojciecha przy ul. Wolskiej, gdzie znajdowało się około 600 trupów kobiet, mężczyzn i dzieci ułożonych w stos. W pobliżu stosu znajdowało się kilkadziesiąt trupów, które dołożyliśmy do tamtych. Następnie udaliśmy się do domu przy ul. Wolskiej 60, gdzie po dwóch stronach podwórka leżały zwłoki przeszło 100 mężczyzn z oznakami masowej egzekucji. Na terenie tej samej posesji w krzakach znaleźliśmy kilkanaście trupów kobiet, dzieci i niemowląt zamordowanych strzałami w tył głowy. Na to samo miejsce przenieśliśmy z domu róg Płockiej i Wolskiej kilkadziesiąt zwłok mężczyzn, kobiet i dzieci częściowo spalonych, zamordowanych strzałem w kark. Z odcinka od Płockiej do Górczewskiej przynieśliśmy około stu ciał. W jednym z tych domów znaleźliśmy trupa na pół spalonego mężczyzny, obejmującego za szyję dwoje dzieci.

Dnia 8 sierpnia zaprowadzono nas na podwórko fabryki „Ursus” przy ulicy Wolskiej. Cały dziedziniec fabryczny o wymiarach ca 50 x 50 m zasłany był trupami tak gęsto, że niemożliwe było przejść nie deptając ich. Wśród nich była połowa kobiet z dziećmi, często niemowlętami. Zwłoki nosiły ślady uprzedniego rabunku. Pozycja zwłok wskazywała na to, że ludzie ci byli mordowani pojedynczo, w szczególnie bestialski sposób. Po ułożeniu podkładu z drzewa stos podpaliliśmy. Przy układaniu stosu pracowało 50 ludzi przez około 6 godzin. Liczba spalonych tam zwłok przekraczała, według mnie, sześćset. Ubiór i walizki wskazywały na to, że byli to uchodźcy. W czasie wywożenia trupów z okolicznych domów natknąłem się w domu na rogu ul. Skierniewickiej i Wolskiej na większą liczbę trupów, znajdujących się w piwnicy zalanej wodą. Z powodu zbyt wysokiego poziomu wody wyciągnęliśmy tylko kilkadziesiąt ciał. Sądzę, że ludzie ci zostali tam wrzuceni po zamordowaniu ich na podwórku, gdzie znajdowało się jeszcze kilkanaście trupów. Następnie zaprowadzono nas do fabryki „Fraszek” przy ulicy Wolskiej, gdzie spaliliśmy mniej więcej tyle ciał co w fabryce „Ursus”. Tu także były kobiety i dzieci...

W domu firmy Machlejd rzucaliśmy trupy zwiezione z pobliskich budynków do płonącej piwnicy. W ciągu następnego dnia pracowaliśmy przy paleniu zwłok na terenie szpitala św. Łazarza przy ul. Wolskiej. Ciała pomordowanych chorych i personelu znajdowaliśmy na salach szpitalnych w łóżkach, klatkach schodowych, korytarzach i piwnicach. Z tego co widziałem sądzą, że wszyscy chorzy i służba zostali pomordowani. Zwłoki w większości wypadków spalono w piwnicach. Po częściowym spaleniu trupów na terenie szpitala św. Łazarza paliliśmy trupy w domach. Po powrocie na teren szpitala zastaliśmy zwłoki czterdziestu świeżo zamordowanych mężczyzn. Jednego z następnych dni spaliliśmy około stu zwłok z ul. Młynarskiej na odcinku od Wolskiej do Górczewskiej. Na podwórku fabryki Michlera również około stu i na ul. Ptasiej w tej samej liczbie. Wieczorem oczyściliśmy teren szpitala św. Łazarza ze śladów zbrodni. Zacieranie śladów masowych morderstw trwało do połowy września 1944 roku. Organizacja pracy była następująca: oddział do palenia zwłok składał się ze 100 ludzi podzielonych na 2 samodzielne grupy robocze po 50 osób, odseparowanych od „Arbeitskommando”. Praca odbywała się pod nadzorem 15 SD-manów pod dowództwem oficera SD. Część robotników układała stos, część zwoziła zwłoki z pobliskich domów. W tym czasie zdarzały się pojedyncze mordy, dokonywane na starcach i księżach. Opisane czynności miały miejsce od 6 do 15 sierpnia 1944 roku.” W wiele lat po warszawskim sierpniu powtórzy i przypomni to zeznanie niemieckiego świadka tygodnik „Spiegel”.

Rzadko zagląda się na cmentarz przy ulicy Wolskiej. A można zobaczyć tu obraz nie mieszczący się w ogólnie znanych pojęciach o przemijaniu ludzkiego życia. Pod jedną szarą płytą piaskowca spoczywa dwanaście ton ludzkich prochów zebranych z miejsc hitlerowskich kaźni i masowych egzekucji! Na jednej z tablic nagrobnych wyryto imiona dzieci Wandy Felicji i Bolesława Lurie: Wiesława, Lecha i Ludmiły. Ich matka mówi: „Chciałam wówczas powyciągać ich ciała i przysypać węglem...” Było to jednak ponad siły kilkakrotnie rannej, ciężarnej kobiety. Nie zdołała po egzekucji wydostać ze zwału trupów zwłok rozstrzelanych dzieci i ukryć w fabrycznych piwnicach pełnych węgla. Postanowiła, że zrobi to później... Gdy przekraczała bramę fabryki była za kwadrans piąta. Do dziś nie zapomniła tej godziny, którą wówczas wskazywał zegar na pustej portierni „Ursusa”. Tylko jego tykanie ożywiało tamtą śmiertelną ciszę. W trzy godziny później na podwórze „Ursusa” przybyły ekipy „Brennenkommando”. Został ludzki popiół rozwiewany wiatrem, zmywany deszczami. Tylko resztki zważy potem dokładnie i skrupulatnie zapiszą przedstawiciele PCK. Ale nawet tych 12 ton ludzkich prochów nie poruszyło jęczyzka u wagi bońskiej Temidy.

Oto zeznanie jednego z kapłanów. „Mówiłem „Ojcie nasz”, gdy usłyszałem „Feuer!” – wspominał dzień 5 sierpnia ksiądz Bernard Filipiuk, pacjent tego samego szpitala na Płockiej, w którym leżał brat Wandy Lurie. „Widziałem dokładnie – mówił cudem uratowany ksiądz – jak przede mną rozstrzelivano każdą dwunastkę ludzi, strzelając w plecy. Widziałem też, że po salwie gestapowiec dobijał jeszcze rannych z rewolweru, celując w głowę. Trupami było już założone jakieś 3/4 podwórka. Niektóre z nich, bliżej płonących domów, paliły się.” Niewielu dane było ocaleć, ale ówczesny kapelan Szpitala Wolskiego ksiądz Marian Chwilczyński żyje...

Na rogu Wolskiej i Działdowskiej nie ma dziś żadnych śladów wojny. „Wychodziłam z domu już ostatnia, szłam z dziećmi pustą, milczącą ulicą. Krzyki dobiegały dopiero z daleka, od Wolskiej. Gdzieś-niedzie słyhać było trzask ognia roznieconego granatami” – mówi Wanda Lurie.

Przyszedłem tu sam. Nie próbowałem prosić matki, aby mi towarzyszyła. Nie mogę odnaleźć nic z tamtego czasu poza znajomym kształtem Krzyża Virtuti Militari na ścianie jednego z domów. „Zbrodniarze hitlerowscy spalili tu zwłoki 500 Polaków”. Nie ma tego mieszkania na pierwszym piętrze. Nie ma tego piętra. Nie ma śladu po domu. Ale to gdzieś tutaj w mroźną wojenną noc roku 1942 umierała Iwonka Lurie. Miała tylko sześć lat. Zabiła ją nie tyle choroba, co godzina policyjna okupowanego miasta. Nie wolno było wyjść nawet po lekarza, a gdy nadszedł ranek było już za późno...

Szukam w upalnym powietrzu miejsca po tym balkonie, który uratował kiedyś mego ojca Bolesława Lurie. Kiedy akurat wpadł na krótko do domu, do drzwi zastukali żandarmi. Firanka ocaliła mu życie. Tym razem Niemcy nie robili rewizji.

Gdzieś tu pod fasadą nowych bloków była też tamta piwnica, w której Lurie innym razem ukrywał się przez trzy dni i noce w pace pod węglem, gdy hitlerowcy zrobili nagle blokadę okolicznych domów. Szukali podobno broni, którą po kapitulacji komendant rejonu OPL Bolesław Lurie, z okolicznymi mieszkańcami zakopał na placu zabaw... Gdzieś tu była też w piwnicy pralnia, o której mówiła Wanda Lurie. Jej mąż przy pomocy sąsiadów zniósł tam łóżko i koce, przygotował wodę na wypadek, gdyby miała rodzić. Były to pierwsze dni powstania. A potem poszła tędy, tą ulicą, ciężarna kobieta z trójką małych dzieci. Ocalało tylko jedno z nich – to wówczas jeszcze nie narodzone...

Zbieg nieprawdopodobnych niemal okoliczności sprawił, że nie każdy pocisk zabijał. Wanda Lurie, mimo czterokrotnego postrzału znalazła dość sił i hartu ducha, aby podjąć próbę ratunku. Z pomocą innych ludzi udało się ocalić nie tylko matkę, ale i nie narodzone jeszcze dziecko. Tuż przed masową egzekucją w kościele św. Wojciecha bohaterski lekarz, doktor Rawa, zdołał wywieźć ją na słomie chłopskiej furmanki poza warszawski pierścień śmierci. Po wyjściu ze szpitala zamieszkała pod Warszawą w Podkowie Leśnej, która wtedy była schronieniem dla wielu mieszkańców stolicy.

Przyszły lata powojenne. Ciężkie przeżycia wracały w snach, obrazy z tamtych dni nosiła pod powiekami, kołatały w skroniach, nie dały pracować. Łatwiej odbudować domy niż ludzi, których życie wewnętrzne zostało okaleczone przez wojnę. Małżeństwo Lurie pomału odbudowywało swoje ognisko rodzinne, w którym znów były dzieci.

Mąż Wandy, Bolesław Lurie, pochodził z rodziny francuskiej. Jego przodkiem był żołnierz Napoleona Bonaparte, powracający spod Moskwy przez Księstwo Warszawskie. Bolesław, obrońca Warszawy we wrześniu i uczestnik powstania – zmarł po długiej chorobie w lutym 1960 roku. Na barkach samotnej kobiety spoczął obowiązek prowadzenia domu i wychowania dzieci. Ale nie załamała się. Mimo nadwężonego zdrowia pracowała nadal w aptece.

Wiele jeszcze przeżyła strasznych chwil 33-letnia wówczas Wanda Lurie, zanim wreszcie 11 sierpnia 1944 roku znalazła się w szpitalu. 20 sierpnia w Pruszkowie, w szpitalu na Wrzesinku urodziła syna. Rodziła będąc na wpół sparaliżowana. Z mężem, który kanałami przedostał się z Górczewskiej na Starówkę i wyszedł żywy z walk powstańczych spotkała się w grudniu 1944 roku.

Jej „prywatną”, jakże straszliwą „księgowość” zawiera przechowywany zeszytek. Niewielki, o postrzępionych latami kartkach. Był kiedyś szkolnym dzienniczkiem rozstrzelanego syna. Zatarte często, pisane chemicznym ołówkiem nazwiska – sąsiadów, znajomych, tych, których zapamiętała tam – na miejscu kaźni. Ona – jedyna z żyjących. Jest tych nazwisk około dwustu. Kilka kartek zapisanych drobnymi literkami. Błaszkieviczowie, rodzina Zychów, Wieczorkowie, Czekalińscy, rodzina Ulrichów...

To Wanda Lurie, wkrótce po oswobodzeniu Warszawy, cudem ocalała z masowej egzekucji, postanowiła upamiętnić tragedię mieszkańców Woli w murach fabryki „Ursus”. Własnoręcznie zrobiła wówczas z dykty prowizoryczną tablicę, wpisała pierwszy nekrolog kilku tysięcy rozstrzelanych. Zawiesiła tę tablicę na fragmencie fabrycznej ściany, przyniosła kwiaty. Odtąd kwiaty kwitną tu zawsze. Przypominają. Każą pamiętać. Nie tylko o ofiarach zbrodni – także o mordercach...

Nikt nie będzie zapomniany. Także ten młody mężczyzna, który wzięty w ulicznej łapance nie wrócił z Oświęcimia. Nazywał się Henryk Lurie, był synem męża Wandy z jego pierwszego małżeństwa. Niemcy znaleźli przy nim plik konspiracyjnych ulotek.

Czas ostatniej wojny stał się szczególnie dramatyczną próbą patriotyzmu dla moich bliskich i innych polskich rodzin. Kronika rodziny Lurie jest na swój sposób szczególnym losem wojennym. Wanda Lurie była jedną z walczących. Nie należała do konspiracji, nie była żołnierzem sił zbrojnych, nie walczyła w partyzantce, nie była też więźniem obozu. Ale była jedną z tysięcy heroicznych, polskich kobiet, żoną i matką, sercem polskiej rodziny. Nie miała wokół towarzyszy broni, nie mogła liczyć na czyjąś pomoc. Była sama z trojgiem małych dzieci. Drżała o życie ukrywającego się męża. Nocą budził ją każdy zatrzymujący się przed domem samochód. Zamartwiała się o dzieci, coraz bardziej cierpiące głód. Przedstawicielstwo znanych firm „Sokół” (a także „Biolabor”, „Pszczółka”), które miał przed wojną jej mąż, zmalało do niewielkiego sklepiku z gilzami i bibułą. Każdy okupacyjny dzień przynosił gwałtowny wzrost cen żywności. W latach 1940-1943 miesięczne porównywalne koszty utrzymania wzrosły z 730 do 1300 złotych. Warszawski gubernator Fischer otwarcie przyznał wobec gubernatora Franka, że nie wie, z czego żyje półtora miliona mieszkańców stolicy! Dzienna racja żywności, przypadająca na osobę, już w 1941 roku wynosiła niewiele ponad czterysta kalorii. Mateczka Wanda dobrze pamięta owe głodowe

przydziały na sławne „kartki”: 1050 gramów chleba, 93 gramy mąki, 93 gramy mięsa, 1923 gramy ziemniaków, 55 gramów marmolady, 46 gramów cukru – tygodniowo!

Chodziło przede wszystkim o dzieci. Aby nie były głodne. Żeby były zdrowe. W warunkach okupacyjnej Warszawy to także była walka. Tak jak nocleg udzielony komuś szukającemu schronienia. Jak lekarstwo czy trochę żywności, przemycone z kartonami gilz do głodującego getta! Jak zaszczepienie dzieciom wiary, że tatuś wróci, kiedy będzie Polska... Jest Polska. Ja żyję, skazany na śmierć przez „Kampfgruppe Reinefarth” jeszcze przed moim urodzeniem.

Protokół

„Warszawa, dnia 20.XI.1946 roku p.o. Sędziego Śledczego Sądu Okręgowego w Warszawie Halina Werenko działając na mocy dekretu z dnia 10.II.1945 roku o Głównej i Okręgowych Komisjach Badania Zbrodni Niemieckich w Polsce (Dz.U.RP. Nr 51 poz.293) dokonała za pośrednictwem biegłego sądowego prof. UW W. Grzywo-Dąbrowskiego oględzin sądowo – lekarskich poszkodowanej Wandy Felicji Lurie z.d. Podwysocka.

Oględziny wykazały co następuje:

I. Wywiad lekarski:

Na stosowne zapytanie poszkodowana wyjaśniła, iż w dniu 5 sierpnia 1944 roku razem ze wszystkimi mieszkańcami została wypędzona przez żołnierzy niemieckich z domu przy ul. Wawelberga nr 18 w Warszawie i odstawiona do fabryki Ursus przy ul. Wolskiej nr 55, gdzie odbyła się masowa egzekucja Polaków. W czasie egzekucji żołnierz niemiecki strzelił z rewolweru do poszkodowanej trafiając w kark w ten sposób, iż kula wyszła przez lewy policzek, następnie iż po zsunięciu się na ziemię trzy razy w nogi, raz w lewą, dwa razy w prawą powyżej kostek. W parę godzin później w przerwie pomiędzy rozstrzeliwaniem przyprowadzanych grup Polaków żołnierz niemiecki szukając kosztowności u trupów wszedł butem na lewą nogę poszkodowanej powodując zwichnięcie w kostce. W czasie egzekucji poszkodowana była w 9-tym miesiącu ciąży. Dostała krwotoku ciążowego i z ran. Po udanej ucieczce z miejsca egzekucji poszkodowana zatrzymana na ulicy Wolskiej przez żandarmerię niemiecką, została odstawiona do kościoła św. Wojciecha, gdzie leżała przed ołtarzem dwa dni bez opatrunku i bez pomocy lekarskiej. Rany szyi i klatka piersiowa nabrały koloru ciemnego, lewa ręka bezwładna. Po odstawieniu w transporcie chorych do obozu przejściowego w Pruszkowie wraz z innymi ciężko chorymi w dniu 11 sierpnia 1944 roku dostała się do szpitala PCK w Leśnej Podkowie, gdzie po raz pierwszy założono jej opatrunki. W szpitalu w Leśnej Podkowie pozostała do 19 sierpnia 1944 roku, następnie przebywała w szpitalu powiatowym w Pruszkowie, gdzie w dniu 20 sierpnia 1944 roku urodziła syna. Od 29 sierpnia 1944 roku odesłano poszkodowaną do PCK w Leśnej Podkowie i odtąd pozostała w wyznaczonym lokalu pod opieką doc. Rutkowskiego i dr. Churskiego. Poszkodowana okazuje kartę wypisową szpitala powiatowego w Pruszkowie z datą 29.VIII.1944 roku, z której wynika iż Wanda Lurie przebywała w szpitalu powiatowym w Pruszkowie od dnia 19 sierpnia do dnia 29 sierpnia 1944 roku z powodu porodu, rany postrzałowej twarzy i podudzia prawego. Karta wypisowa jest zaopatrzona podpisem dyrektora szpitala dr Komorowski i odciskiem okrągłej pieczęci z treścią w otoku: „Wydział Powiatowy Szpitala w Pruszkowie”. Do dnia dzisiejszego poszkodowana pozostaje pod opieką lekarską PCK, czuje się niedobrze, odczuwa bóle szczęki, głowy, obu nóg, wątroby, jest osłabiona, łatwo się męczy. Syn poszkodowanej jest nerwowy i źle sypia.”

Zakończenie

Ponury okres Powstania Warszawskiego, poprzedzony okupacją, zbiorowe egzekucje, obozy koncentracyjne, łapanie, gruzy, trupy i rumowiska. Boleść rozłąki i utraty. Czas próby ognistej dla ludzkiej godności, kondensacja ziemskiego piekła. Koszmar owych dni nieuchronnie oddala się w przeszłość. Pozostaje pamięć przeżytych cierpień. Dla nas żyjących jest ona czymś nieuniknionym. Gehenny sprzed dziesiątek lat nie wolno jednak zapominać i tym, którzy szczęśliwie jej nie doświadczyli, żeby męczeństwo ofiar wojny nie stało się bezowocne.